

Czekając na koniec świata

22 czerwca 2007

Powyższy tytuł przyszedł mi do głowy podczas rozmyślań o nadchodzącym końcu świata i uparcie przywołującym z pamięci na tą okoliczność sztukę Samuela Becketta – „Czekając na Godota”. Bo wydaje się, że oba tematy mają wiele wspólnego co niniejszym spróbuję przedstawić. Może moje rozmyślenia o końcu świata trwałyby dłużej, może nawet do ostatnich dni tej planety czyli do grudnia 2012 roku, dziś jednak, kiedy zaczyna się przebąkiwać, że bajka o Żwirku i Muchomorku w wyniku internetowej sondy staje się bajką najbardziej podejrzaną obyczajowo – postanowiłem nie czekać.

Ta lawina zasypujących nas ostatnio informacji, jeśli już nie „paranormalnych” to na pewno „paranoidalnych” budzi moje obawy, że za kilka miesięcy, a na pewno krótko przed końcem świata nikt tego tekstu nie będzie już rozumiał.

Kieruję go przede wszystkim do tych, którzy jeszcze pozostali a więc tych, którzy uodpornili się już na medialne informacje i wierzą w rozum. Nie ten kreowany – ale swój własny. Pozostałym proponuję wrócić do tego tekstu ewentualnie po wieczery wigilijnej w 2012 roku.

Informacje o zbliżających się kataklizmach, a w efekcie – końcu świata, będą wg mnie pojawiać się coraz częściej. Osiągną pewnie apogeum w roku 2012 i może wreszcie można będzie sobie wtedy uświadomić czym mógłby być człowiek dla człowieka. Będzie można to sobie uświadomić przez kilka dni... po czym wszystko wróci do normy...Tak już było nie raz.

Przed zbliżającym się „końcem” proponowałbym poznać jeden z poprzednich. Patryk Geryl, Edgar Cayce, Nostradamus, Mario de Sabato, Jeane Dixon, kalendarz Majów. Wszystko to już było... Proponuję coś mniej znanego. Historyk Frederick H. Marten w The Story of Human Life [1] obrazowo przedstawia jeden z

końców świata mający nastąpić 31 grudnia 999 roku: „(...) papież Sylwester II stał przed głównym ołtarzem, celebrując w skupieniu nabożeństwo. Świątynia zapełniona była ludźmi do tego stopnia, że głowa sterczała przy głowie, tworząc jakby wybrukowany wielkimi głazami plac, wszyscy zaś klęczeli i zapadła taka cisza, że w najdalszych zakamarkach bazyliki słychać było szelest papieskich szat, gdy ów najwyższy kapłan poruszał się majestatycznie przed ołtarzem. Zaś oprócz szelestu rękawów było też słychać inny dźwięk, który zdawał się odmierzać ostatnie minuty dramatycznego tysiąclecia, jakie upłynęło od czasu narodzin Chrystusa. Odbijał się on echem o mury świątyni i pulsował miarowo w uszach zgromadzonych w niej ludzi, jak bicie pulsu w uszach trapionego gorączką człowieka – dźwięk donośny, regularny i nieustanny. Dochodził zaś z zakrystii, której drzwi zostawiono – zapewne celowo – szeroko otwarte i to, co przepełniało wszystkie serca trwogą było donośnym tykaniem wiszącego tam wielkiego zegara, który z zawziętą pracowitością odprawiał w przeszłość sekundy za sekundą. (...) Wreszcie ostatnie słowa mszy zostały wypowiedziane i nabożeństwo dobiegło końca, lecz nikt się nie poruszył, nikt nie zmierzał do wyjścia. Martwa cisza zapadła nad całym zgromadzeniem i wszyscy czekali, wsłuchując się w hipnotyczne miarowe tykanie zegara. Papież Sylwester stał w dalszym ciągu przy ołtarzu, pogrążony w modlitwie i rozmyślaniu, albowiem dla niego był to nie tylko koniec ziemskiego żywota ale i koniec przywództwa wielkiej chrześcijańskiej nawy. Zaś zegar tykał nieustannie. (...) Na wielu czołach pojawił się zimny pot, a zastygłe w jednej pozycji ciała straciły wszelkie czucie. I nagle – zegar przestał tykać! Zaś w piersiach wielu zgromadzonych zaczęło rosnąć pragnienie krzyku, aby dać ujście poczuciu zgrozy. Inni zaś ludzie o słabych nerwach i sercach mdleli i umierali, a ich ciała osuwały się ciężko na kamienną posadzkę. Potem zaś zegar zaczął wybijać północ. Jedno uderzenie, drugie, trzecie, dwunaste. Echo dwunastego uderzenia potoczyło się po nawach bazyliki i znów zapadło głucho milczenie. Nie przemówiły trąby zagłady i nie zatrzęsała się ziemia. Aż wreszcie papież

Sylwester skończył modlitwę, odwrócił się do tłumu i z dumnym uśmiechem zwycięzcy wzniosł w górę ramiona błogosławiąc wszystkich wkraczających w drugie tysiąclecie chrześcijańskiej ery i dzięki składając boskiej wspaniałości. W tym samym momencie wszystkie dzwony na wieży zaczęły wybijać radosne kuranty, zaś z chóru popłynęły słodkie dźwięki pieśni. Głosy młode i stare mieszały się najpierw niepewnie, lecz z każdą sekundą umacniania się w bycie nabierały pewności, stałości i czystości, aż pod sklepienia bazyliki wzniosło się świeżo i gromko Te Deus Laudamus – Ciebie Boże chwalimy! (...) Nietrudno odgadnąć, że wkrótce, a właściwie już od następnego poranka po tej strasznej nocy, życie odzyskało swój normalny średniowieczny rytm, czyli, że kupcy przestali rozdawać swoje towary za darmo, właściciele i niekoniecznie właściciele – obdarzonego wolnością bydła zaczęli się uganiać za nim po polach zapędzając krowy i owce do zagród a konie do roboty”.

Może się mylę ale czytając ten opis wydaje mi się, że jakby nie wszyscy byli przekonani, że koniec świata nastąpi. A może nawet ci, których mam na myśli, wiedzieli, że nie nastąpi na pewno.

Wydaje się jakby to okresowe i pojawiające się na przestrzeni wieków „straszenie ludzi” zawsze miało jakiś cel... A jaki? Możliwe, że dzieje się tak z powodu błędnego koła życia tej cywilizacji, która z jednej strony chce rozwinąć się technicznie, z drugiej zaś – nie umie powstrzymać upadku przy tej okazji wszelkich zdobytych dotąd idei i wartości intelektualnych. Jedną z metod hamowania tego niekorzystnego trendu jest okresowe sianie niepokoju i strachu a metoda ta jak widać sprawdzała się w przeszłości.

Niestety, samego trendu nie da się już odwrócić. Społeczeństwo techniczne i jednocześnie nastawione wyłącznie na konsumpcję, społeczeństwo tak „produkowane” wszelkimi sposobami i to na naszych oczach, nie ma już przed sobą nic oprócz zjadania swojego ogona. Zresztą, oprócz siania niepokoju, jest też inny cel, strategiczny i przewidziany na wiele lat naprzód:

doprowadzić do istnienia społeczeństwa bezwolnego, ogłupiałego informacją płynącą zewsząd, skazanego na wirtualne kredyty, biochipy, skanowanie i kontrolę, społeczeństwa ludzi-robotów.

A ci, w których pozostaną resztki rozumu i nadziei, cóż będą robić? Pozostanie im tylko wypatrywać w gwiazdach „przyjaciół z kosmosu” czy też „dać na tacę” i modlić się o lepsze jutro?

I może tak ma być. Może ma trwać to odwieczne, przysłowiowe „czekanie na Godota”, który ma przynieść odmianę losu ludzkości. Czekanie na coś co się nie zjawi i nie zdarzy. A od wieków iluzja „nadejścia Godota” pojawia się w okresowo i to w różnych postaciach; bądź to w zapowiedziach między-cywilizacyjnego kontaktu, przepowiedniach „proroków”, „prawd” głoszonych przez różnego rodzaju sekty, w tym także niestety ufologiczne. Można się tylko zastanowić, czy dzieje się to przypadkowo i spontanicznie...

Trzeba jednak zdać sobie sprawę z tego, że życie na tej planecie zostało tak skonstruowane, że wiedza o dniu jutrzejszym ma być dla nas niedostępna. I tak będzie zawsze. Możemy tylko puścić wodze fantazji lub też uważnie obserwować świat w jakim kierunku zmierza. Co więc będzie po roku 2012? Kolejny koniec w 2016? A może w 2026? Chyba nie w przepowiedniach wypatrywać nam Wielkich Wydarzeń. Może lepiej zamiast prorocstw i gwiazd obserwować zachowania giełd światowych? Tak chyba będzie lepiej ponieważ jak już się przekonaliśmy na przykładzie „11 września”, pewna grupa ludzi zawsze wie szybciej co się wydarzy...

Może też w oczekiwaniu na kolejne końce świata warto też czasem chwilę odsapnąć, przystanąć na moment w tym nieustannym biegu przez życie, zastanowić się nad otaczającym nas światem i może wreszcie nad samym sobą bo przyszłość tej planety zależy po części od każdego z nas. Będzie to miało na pewno większy pożytek niż pełne entuzjazmu studiowanie przepowiedni o 2012 i innych. Bo przecież tak naprawdę wielu z nas się nimi ekscytuje, ale gdzieś w głębi ducha, chyba nikt nie chce aby

się sprawdzili?

Zresztą nie martwmy się – kolejnych końców świata w przyszłości na pewno nie zabraknie. Postarają się o to na pewno ci, którym zależy na tym aby od czasu do czasu koniec świata się zbliżał. Jeśli chodzi o najbliższy – wierzę, że przywitam Nowy Rok 2013, zaś o ile „wyższe instancje” nie powołają mnie do siebie, może będę świadkiem następnych „końców”. Będą następować tak długo, aż kiedyś nastąpi ten ostatni. Bo przecież żadna cywilizacja nie jest wieczna. Jeśli się sama nie utopi we własnym sosie, być może kiedyś sięgnie do gwiazd aby przetrwać. Może za 100, 200 lat, może za 1000? O ile „ktoś kto obserwuje nas nieustannie” na to pozwoli i wcześniej nie pozamiata tej planety. Ale tym razem dokładnie, tak, aby replikacja ludzkiego DNA nigdy już nie nastąpiła. Istnieje bowiem groźba, że kiedy zaczniemy sięgać gwiazd – zrobimy to za szybko i zawleczone tam samych siebie razem ze swym majdanem obecnego zła. A przecież – oczywiście – będziemy tam chcieli stworzyć nowe życie. Na obraz i podobieństwo swoje...

Autor: Zygfryd Świerkowski z PGU

Źródło: Serwis NPN

BIBLIOGRAFIA

Charles Berlitz, „Koniec świata A.D. 1999”, Wydawnictwo Pandora 1994.